Zeszyt 17. Lwów dnia 20. Czerwca 1879 **Rok I.**

STRZECHA OJCZYSTA

PISMO DLA RODZIN POLSKICH.

PRENUMERATA kwartalnie 1 złr. 50 ct. = 3 mark. | WYCHODZI dnia 10go, 20go i 30go każdego miesiąca. | W. MANIECKI Wydawca i odpowiedz. za Redakcją

Prenumeratę i inseraty przyjmuje księgarnia F. H. Richtera, plac Maryacki, hotel europejski.

Złamane Serca.

Powieść

PRZEZ AUTORA „CHORÓB GALICJI.“

V.

(C. d.) Mateusza Czudka stracił Juljan z oczu nazajutrz po nieszczęśliwym wypadku z maturą. Wstydząc się kolegów i bojąc się gniewu wuja, nie wychodził on kilka dni z domu; tymczasem Czudek nie przyszedłszy się z nim pożegnać, wyjechał ze Lwowa. Zapewne spieszył się do rodziców na wakacje, więc nie miał czasu szukać Rossowskiego. Odtąd o Czudku wieść zaginęła, a i sam Juljan o nim zapomniał.

Po upływie lat kilku jakoś się zdarzyło, że Juljan spotkał jednego ze swych kolegów, który właśnie ukończył uniwersytet wiedeński. Zgadało się o tem i owem, o dawnych znajomościach i kolegach, i z toku rozmowy dowiedział się nasz młody przyjaciel, że Czudek porobiwszy z wyszczególnieniem wszystkie egzamina, i otrzymawszy stopień doktora praw, dostał się do biura jednego ze znakomitszych adwokatów wiedeńskich. Zamiarem jego było zostać także adwokatem.

Znowu sporo czasu upłynęło. Juljan miał już lat dwadzieścia ośm i magazyn jego pod firmą Storcha niósł piękne dochody, gdy raz po południu, idąc wzdłuż Wałów, potrącił nieuważnie jakiegoś jegomościa niskiego, który obok przechodził. Obraca się, a sięgnąwszy ręką do kapelusza, mówi: przepraszam! Nieznajomy także się obraca i Juljan poznaje w nim kogo — Mateusza Czudka! W rzeczy samej był to dawny jego kolega, ale jak zmieniony! Twarz miał zmęczoną, pomiętą, głowę prawie już łysą, oczy bez blasku, usta skrzywione. Mimo wzrostu niskiego trzymał się pochyło i wspierał na łasce czarnej, którą u góry zdobiły dwa kwaściki jedwabne. Ubior był na nim bardzo przyzwoity i jak na ulicę zbyt nawet ceremonialny.

— Czudek! dalipan Czudek! — zawołał rękę mu podając.

— Aha! Pan Juljan Rossowski — odrzekł Czudek z uśmiechem.

— Zkąd ci się p a n wzięło? Przecie jesteśmy dobrzy znajomi, koledzy.

— Prawda, ale nie wiedziałem czy nie obrażę zbytnią poufałością. Nie widzieliśmy się tak długo, lat przeszło dziesięć, a ludzie się zmieniają!

— Ja mój kochany chyba nigdy się nie zmienię — odpowiedział Juljan z właściwą sobie otwartością. — Lecz powiedz mi gdzieś był, coś robił, gdzie teraz mieszkasz, jak ci się powodzi?

— Od tygodnia mieszkam we Lwowie... otwieram kancelarję adwokacką. Jeżeli by była jaka sprawa, jestem na rozkazy.

Dr. Czudek mówił powoli, cedząc słowo po słowie i widoczną było rzeczą, że stanie na ulicy bądź mu było niemiłe, bądź go nużyło. Juljan tego nie dostrzegł.

— Ja, Bogu dzięki — rzekł — nie mam jeszcze takich interesów, w których bym potrzebował pomocy adwokata, lecz mój wujaszek ma spór ze swoim sąsiadem i właśnie dziś prosił mnie, bym mu sprowadził jakiego prawnika, sam bowiem nie wychodzi.

— A więc wuj dobrodziej żyje jeszcze? — odpowiedział Dr. Czudek ożywiając się nagle na całej twarzy. — Bardzo zacny obywatel, jakem poczciw, bardzo zacny! Jak tylko pan Czarkowski rozkaże, będę niezwłocznie na jego usługi. Jeżeli chcesz, przyjdę dziś jeszcze.

— Dziękuję ci serdecznie, dziś nie mógłby cię przyjąć, bo mnie w domu nie będzie, lecz jutro. Jeżeli więc czas pozwoli, czekamy cię jutro.

— O! z największą przyjemnością. Życzenie wuja dobrodzieja będzie dla mnie zawsze rozkazem. Mało już w dzisiejszych czasach tak zacnych obywateli, jakem poczciw, bardzo mało. Do widzenia kochany Juljanie, spieszę się, bo moi klienci czekają.

— Do widzenia jutro!

I rozeszli się w dwóch kierunkach przeciwnych.

Nazajutrz Dr. Czudek wyświeżony, wystrojony, cały woniejący, jakby szedł odwidzić narzeczonę, zajechał dorożką przed pałacyk pana Czarkowskiego. Juljan wprowadził go do wuja, który leżał w łóżku chory na reumatyzm. Narada trwała dosyć długo. Dziwak mało sto razy opowiedział adwokatowi swoją sprawę, która nie tyle była ważną, co przykrą dla niego. Oto sąsiad najbliższy, stawiając sobie dom piętrowy, nie trzymał się ściśle przepisów rządowych, i tak w swojej kamienicy boczne okna poumieszczał, że mógł każdego czasu widzieć co p. Czarkowki robi u siebie. Dziwaka niesłychanie to drażniło, a ponieważ wiedział, że sąsiad nieprawnie sobie postąpił, więc postanowił go zmusić bądź do cofnięcia domu w głąb o kilka sążni, co było rzeczą niemożliwą, bądź do zamurowania bocznych okien, co Dr Czudek uznał za żądanie bardzo skromne i słuszne

Chory aż zdrowszym się uczuł, gdy adwokat sprawy wysłuchawszy, zażądał pełnomocnictwa do wytoczenia pozwu niegodziwemu sąsiadowi, przyczem uroczyście upewniał, że do kilku miesięcy proces wygra. Pan Czarkowski podpisał pełnomocnictwo bez wahania, poczem zapytał:

— Czy mam co złożyć na wstępne wydatki?

— Nie potrzeba panie dobrodzieju. Ja od osób zacnych i tak dobrze mi znanych nigdy naprzód nie biorę... jakem poczciw nigdy! Będzie czas na to... Ja rachuneczek w książkach sumiennie przeprowadzę, jakem poczciw bardzo sumiennie!

— Nie wątpię kochany mecenasie. Kogo Juljan poleca, ten musi być człowiekiem prawym.

Adwokat chciał się uśmiechnąć, lecz tylko się skrzywił.

— Panowie kolegowaliście z sobą? — staruszek znowu zapytał.

— Tak jest... jakiś czas.. ale to dzieje dawne!

Wzmianka o Juljanie i czasach studenckich, nie musiała podobać się adwokatowi, gdyż chowając pełnomocnictwo powstał i zaczął się żegnać, obiecując wkrótce odwidzić swojego klienta.

Przez cały czas rozmowy z panem Czarkowskim, Dr. Czudek był nadzwyczaj grzecznym, nadskakującym, usłużnym, takim samym jak później, gdyśmy go pierwszy raz poznali w drodze z Monachjum do Wiednia. Jeżeli nas pamięć nie zawodzi, ta jego grzeczność nadzwyczajna nie zrobiła na Wandzi i jej chorym bracie wrażenia dodatniego; przeciwnie panu Czarkowskiemu podobnie jak i panu Wybickiemu wcale się ona podobała. Osoby starsze wymagając, by młodzi byli dla nich z szacunkiem największym, nie przypuszczają, żeby pod grzecznością mógł się czasem fałsz ukrywać. Każdy ukłon, każde słowo szacunku, nawet uwielbienia, uważają za daninę należną ich stanowisku i wiekowi. Panu Czarkowskiemu podobała się tedy jeszcze więcej niż panu Wybickiemu uniżoność adwokata, którą uważał za naturalną i szczerą.

Innego atoli zdania był Juljan Rossowski. Ten widząc jak Czudek nadskakuje jego wujowi, myślał sobie w duchu:

— Umie się brać do rzeczy... prawdziwy adwokat galicyjski! Układny jak kot, chytry jak lis, i ręczę, że zimny jak wąż. Lecz ja mu się nie dziwię... w życiu nie mało zniósł upokorzenia, radby więc teraz jednać sobie przyjaciół. Zresztą on już i w szkołach był takim.. dziś te przymioty jedynie się w nim spotęgowały. Umie się brać do rzeczy, chociaż nie powiem, by mi się to podobało, lecz cóż mnie to obchodzi? Byle wujowi dobrze proces poprowadził, a o resztę nie pytam. Jeszcze mnie w nim jedna rzecz uderza. Jak on unika rozmowy o szkolnych czasach... Czy się wstydzi? Najpewniej!

Tak Juljan z początku rozumował i w nawale własnych interesów wkrótce o nim myśleć przestał; on tymczasem postanowił ile możności zbliżyć się do pana Czarkowskiego, aby sobie zjednać jego zaufanie. Każdy adwokat galicyjski inaczej jedna sobie klientów. Jeden stara się przypodobać wielką pilnością, drugi nadzwyczajną powagą, trzeci opowiadaniem dykteryjek i skandalików, czwarty, lecz tych bardzo mało, surowem przestrzeganiem prawa, piąty udawaniem pana i przegrywaniem pieniędzy do młodych ludzi, których rodzice płacą mu potem sowicie za wszystkie wygrane i przegrane procesa, nareszcie są i tacy jak Dr. Czudek, którzy nadzwyczajną uniżonością starają się tak klienta ubezwładnić, żeby myślał tylko jak oni i jedynie to robił, co oni robić mu pozwolą. Adwokat mający taką taktykę nie szuka wielu klientów, boby ich dobrze nie obsłużył. Jemu wystarczy kilku lub kilkunastu, lecz każdy z nich musi być zamożnym. Uwikławszy swoję ofiarę w sieć grzeczności i drobnych przysług, wysysa ją potem jak pająk muchę, który tyje w miarę jak muchy usychają.

Dr. Czudek przychodził z początku raz na tydzień, najczęściej w niedzielę samym wieczorem na herbatę i partję warcabów, które pan Czarkowski dość chętnie grywał, a których Juljan nienawidził, za co wujaszek czasem robił mu

wymówki. Przy herbacie adwokat rozmawiał o procesie, który był na drodze najlepszej, chociaż wymagał cierpliwości, sądy bowiem austrjackie słyną z powolności, a gdy ten temat się wyczerpał, wszczynał pogadankę o polityce i różnych sprawach społecznych. Tak było z początku. Później wizyty tygodniowe zmieniły się na częstsze, w końcu stały się codziennemi. Odtąd proces, polityka i sprawy społeczne ustąpiły na drugi plan; na pierwszym była literatura klasyczna, do której Dr Czudek okazywał także nadzwyczajne zamiłowanie. Ze szkół wyniósł on kilkaset wierszy z „Iljady“ i kilkadziesiąt z „Eneidy“ — teraz chcąc się dziwakowi przypodobać. douczył się całej jednej księgi z Wirgilego, kilkuset wierszy z Odyssei i co najważniejsze, wykuł na pamięć najpiękniejsze ody Horacego. Jak długo deklamował jedynie Homera i Wirgilego, pan Czarkowski uśmiechając się, wtórował mu to ciszej, to głośniej, czasem nawet poprawiał, co go niesłychanie cieszyło; ale gdy raz dr. Czudek, przedtem nic o tem nie wspomniawszy, wystąpił z jedną z większych ód Horacego, dziwak podniósł się, oczy wytrzeszczył, usta otworzył i oniemiał. Horacego uważał on za autora, którego mogli rozumieć jeno wybrani, i dla tego Wojciechowi nigdy go nie deklamował. Jakież więc było jego zdziwienie, gdy przez usta adwokata zaczęły się wysypywać perły boskiego poety! W dodatku Czudek deklamował dobrze, skandował wcale poprawnie i co najważniejsze, rozumiał co mówił. Pan Czarkowski rozrzewniony, uradowany, przycisnął go do piersi jak syna i odtąd nie mógł się obejść bez jego towarzystwa. Jeżeli kiedy był szczęśliwym, nigdy bardziej jak teraz. Z siostrzeńcem rozmawiał o sztuce — z adwokatem o klasycyzmie, który po części poszedł był już w zapomnienie. Wróciwszy do klasycyzmu starzec ukochał go znowu pierwszą swoją miłością i nieraz spoglądając na Juljana, mówił z głębokiem westchnieniem:

— Szkoda żeś przepadł przy maturze... Niech cię nie znam!

Siostrzeniec był uszczęśliwiony, że wujaszek znalazł tak miłego towarzysza w swoim adwokacie. W ostatnich czasach p. Czarkowski skończywszy siódmy krzyżyk i zapadając często na zdrowiu, zanadto nudził i męczył Juljana, chcąc go ciągle mieć przy sobie. Odtąd młody człowiek mógł wieczorami częściej z domu wychodzić, udając się czy to do teatru, czy gdzie z wizytą. Tak więc wszyscy byli zadowoleni, prócz Wojciecha, który wkładając zarzutkę lub futro na panicza, często mruczał sobie pod nosem.

— A wam co Wojciechu? — spytał raz Juljan.

— Nic.

— Jakto nic? Przecie słyszę, że coś mruczycie.

— Ta prawda, że mruczę... Bo to proszę panicza, mnie się bardzo nie podoba, że panicz wieczorami starszego pana zostawiają zawsze z cudzym człowiekiem.

— Czemu? Przecie on nie zje wuja?

— Wiem, że nie zje, ale zawsze niebezpiecznie zostawiać go ze starszym panem.

— Wojciechu! — zawolał Juljan — a wam co się stało? Przecie to adwokat, człowiek uczony, stróż prawa i sprawiedliwości, którego zna całe miasto!

— Niech tam sobie będzie nie wiedzieć jakim stróżem, ja mu przecie nie ufam. Co prawda to w oczy nie mogłem mu jeszcze zajrzeć, bo sam już na wzrok nie domagam, i nie widzę zdaleka, ale za to dzięki Bogu mam dotąd słuch dobry... O! dobry paniczu!

— I cóż wam ten słuch powiedział? — zapytał Juljan ciekawie.

— Że ten adwokat jest za nadto słodki i delikatny... Gada jak paniątko. chociaż chłopski syn — słyszałem jak to panicz raz mówili starszemu panu — i chodzi tak cichutko, że go ani słychać... O! paniczu ja się bardzo tych boję, co tak cicho chodzą.

Juljan zaśmiał się szczerze.

— Przecie chód cichy jest oznaką dobrego wychowania

— Nie taki paniczu, nie taki! Panicz także cicho chodzą, a jednak inaczej, zawsze słychać jak panicz przez sień idą, a tego adwokata nie słychać choć o dwa kroki przez pokój przechodzi. I kto to tak chodzi... chłopski syn! A to czy ma sens, że całemi godzinami gadają ze starszym panem jakimś językiem, którego nikt na świecie nie rozumie? Nie paniczu, mnie on się bardzo niepodoba!

Juljan uśmiał się serdecznie z uwag starego sługi, który przez zbytek przywiązania do swojego pana, widział tam niebezpieczeństwo, gdzie się go nikt rozumny nie domyślał. Że Wojciech nie lubił adwokata. wcale go to nie dziwiło. Wszak Czudka nikt nie lubił, krom wuja, który się ożywiał w jego towarzystwie. Choćby zatem w uwagach Wojciecha była nawet szczypta prawdy, czyż dla tego, że adwokat nie był może człowiekiem na wskróś zacnym, których tak mało, godziło by się pozbawiać starca nad grobem jedynej przyjemności. jaką miał grając z nim w warcaby lub Homera deklamując? Nie. Juljan nie był zdolnym nic takiego uczynić. coby Czudka odstręczyło od domu jego wuja, podstaw bowiem do tego nie widział żadnych, a przypuszczenia Wojciecha, który nigdy nie słynął z rozumu głębokiego, nie miały w jego oczach żadnej wartości.

Z każdym dniem, prawie z każdą godziną adwokat podbijał sobie serce swego klienta, zdobywając piędź po piędzi jego zaufanie. Nie tylko prowadził proces, o którym jużeśmy mówili; nie

tylko uwikłał go w kilka nowych sporów z innymi sąsiadami, ale co jeszcze ważniejsze, służył mu za doradzcę w sprawach ściśle majątkowych. Pan Czarkowski trzymał cały swój majątek w papierach, mianowicie w listach zastawnych Towarzystwa kredytowego ziemskiego i akcjach kilku najlepszych spółek zagranicznych. Za poradą adwokata, wymienil wszystkie akcje zagraniczne na listy zastawne, na czem w ciągu miesiąca zyskał kilka tysięcy, wspomniane bowiem akcje nagle pospadały. Od tego czasu dr. Czudek był u dziwaka jeszcze w większem poważaniu, a gdy adwokat mu zaproponował, by na swój reumatyzm poradził się jego przyjaciela, Dr. Ragnera, który jako medyk miał we Lwowie głośnej sławy zażywać, chory nie tylko nie miał nic przeciw temu, lecz doktora przyjął nawet bardzo uprzejmie i poprosił, by był jego stałym lekarzem. Ostatnie to zwycięstwo adwokata było największe. Pan Czarkowski nie lubił lekarzy i przez całe życie, mimo iż nieraz chorował, nigdy ich nie wzywał; teraz natomiast wziął sobie lekarza stałego...

Wojciech coraz bardziej kręcił głową i mruczał pod nosem, a Juljan zaczynał się już zastanawiać, ażali pan Czudek nie wkradł się przypadkiem zbyt daleko w zaufanie jego wuja.

Działo się to wszystko na pół roku przed wyjazdem adwokata do Monachjum, w której to podróży poznał pana Stanisława Wybickiego i jego dzieci, a przeszło na rok przed ostatnią wycieczką Juljana do Warszawy, kiedy to jak wiadomo, młody nasz przyjaciel poznał Wandzię w Zarzeczu (C. d. n.)

Szermierz pióra.

Powieść

według oryginału obcego przez H. W.

(C. d.) Joanna ścisnęła silniej jego ręce stygnące.

— Rodzice o tobie nie zapomnieli, Jacque! Do kraju im wrócić nie było wolno, lecz w poszukiwaniach nie ustawali latami całemi! Boleli okropnie nad twoją stratą. Byliby chętnie oddali majątek, szczęście, żeby tylko ciebie odnaleźć, ich dziecko najdroższe. Wszystkie ich usiłowania były jednak daremne!

Rysy Jakóbka zdradzały wielki niepokój, blady rumieniec na twarz wystąpił; uniósł się nawet trochę w górę na poduszkach.

— Czyś znała miss moich rodziców? Czyś ich może spotkała w Ameryce?

— Nie żyją już oboje! — rzekła głucho Joanna.

Głowa Jakóba upadła ciężko napowrót.

— Domyślałem się tego!

Jeszcze niżej schyliła się nad konającym, oddech jej muskał go po licach, a głos do najniższego szeptu zniżyła.

— Gdy matka na okręt wstępywała, niosła na ręku dziecko. Czy je pamiętasz?

Znowu słaby ale przyjaźny uśmiech osiadł na ustach Jakóbka.

— Moją siostrzyczkę, Joasię? Pamiętam ją dobrze, była jeszcze bardzo maleńką, jednak już ją z całego serca kochałem...

— A tę siostrę... — musiała przestać na chwilę, nie mogąc głosu wydobyć z piersi ściśniętej — radbyś ją zobaczyć?... Czy zrobiło by ci to przyjemność, gdybym ci ją pokazała?...

Jakóbek wpatrzył się w nią przenikliwie, głos jej drżący, rysy zmienione, prawdę mu odkryły.

— Ty!... miss?

— Jacque! bracie mój! — załkała Joanna upadając na kolana przy łóżku. Zapomniała w tej chwili uroczystej nawet o bolu w nodze zranionej.

Jakób patrzał dalej na nią spokojnie, a w oczach jego malowało się pewne zakłopotanie, niepewność, trwoga prawie. Wreszcie wysunął milcząc ręce z jej dłoni i głowę do ściany odwrócił.

— Jacque! — zawołała Joanna z żalem i przestrachem — nie chcesz że nawet patrzeć na twoją siostrę? — Czy nie wierzysz słowom moim?

Dziwny wyraz na pół gorzki, a na pół bolesny, odbił się w oczach Jakóba.

— Wierzę... ale myślę sobie, jak to szczęśliwie, że teraz umieram. Byłabyś się mnie z pewnością wstydziła.

Zadrżała... Wymówka była sprawiedliwą. Gdyby była zaraz po przyjeździe z Ameryki poznała brata w służącym Ludwika, możeby była ze wstrętem odwróciła się od niego. Ileż potrzeba było walk i cierpień, jakiej w końcu wielkiej, strasznej ofiary; by złamać jej dumę niepohamowaną, by obudzić w jej sercu uczucie, które teraz z całą siłą nią owładło. Nie tylko była pewną, ale czuła w głębi serca, że ten konający jest jej bratem, jedynym spadkobiercą ojca nazwiska, jedynym, którego łączyły z nią święte związki rodzinne, którego ta sama matka na świat wydała i oczy po straconym synu niemal wypłakała! Brat, siostrę w niej poznawszy, li o jej dumie pamiętał — cofając się z trwogą przed jej uściskiem.

Jakób wytłumaczył sobie fałszywie jej milczenie, również jak nie zrozumiał wyrazu jej twarzy.

— Tak to i będzie — mówił dalej cicho, spokojnie, bez wszelkiej goryczy. — Nie okazałaś mi nigdy życzliwości. A w tedy gdym cię raz pierwszy zobaczył — tyle namęczyłem się wijąc wieńce i kwiaty zbierając — nie chciałaś przyjąć ani jednego! O! w całym moim życiu, nic mnie tak nie zabolało, jak wzrok pogardliwy, którym mnie obrzuciłaś, odtrącając jedną ręką bukiet, a drugą suknię przytrzymując, żeby się nawet ta suknia o mnie nie obtarła... — Zamilkł.

Czego nie wywołały wszystkie walki i cierpienia, nawet straszna rozpacz miotająca sercem Joanny, tego dokazały słowa proste Jakóbka. Może on sam nie wiedział ile w nich było serdecznego bolu, one jednak sprowadziły potok łez do ócz Joanny.

Płakała łzami rzewnemi, jak płacze słaba kobieta, gdy jest pogrążona w rozpaczy i zwątpieniu, gdy czuje jak wszystko wali się w koło niej i z pod jej nóg usuwa. — Joanna Forest zgjąć się nie dała — ją cierpienia złamać musiały.

Te łzy jednak tak gorące, utorowały jej drogę do serca brata, zwyciężając uprzedzenie i trwogę, jaką czuł przed nią. Uczuł on, że go się siostra nie wstydzi, że jego słowa i posądzenia do głębi serca ją zabolały. Zbierając sił ostatek, wyciągnął do niej ramiona, szepcąc głosem omdlewającym.

— Joasiu — wymówił to dawne, znane imię jeszcze z pewną nieśmiałością, lecz bardzo czule zarazem — nie gniewaj się na mnie, droga Joasiu! Wszystko jest dobrze, gdym ciebie przynajmniej uratował!

Joanna rzuciła się ku bratu. Usta rodzeństwa złączyły się pierwszym serdecznym pocałunkiem — był on i ostatnim.

Gdy dzień zaświtał, nie było już syna Foresta pomiędzy żyjącemi. Joanna wypuściła pomału stygnące ciało brata, przymykając mu lekko powieki. Ostatnie łzy spadły na jego oblicze blade, spokojne, jakby uśmiechnięte. Oczy jej bezwiednie, zwróciły się ku oknu. Pokój był jeszcze pogrążony w szarym półcieniu, nad górami jednak niebo w purpurę się już oblekło, a na jej tle, grzbiety gór rysowały się coraz jaśniej. Czy i tam padła druga krwawa ofiara?

XI.

Piękna, jasna noc jesienna zapanowała nad górami. Księżyc w całym swoim cichym, spokojnym majestacie, płynął po stropie niebieskim; blade jego światło przedzierało się przez skał szczeliny, przez drzew konary; cały krajobraz z akompaniamentem lasu szumiącego tajemniczo w oddali, skąpany w smętnym blasku księżycowym, wydawał się dziwnie fantastycznym, dzikim i ponurym.

Na wierzchołku skały wskazanej mu przez stróża, oparty o olbrzymią sosnę i schowany doskonale w jej gęstych konarach, aż do ziemi sięgających, stoi Henryk jak posąg nieruchomy.

Słowa Atkinsa sprawdziły się aż nadto prędko. Natura gwałtowna Henryka nie znała więcej granic. Łamiąc jednak wszelkie zapory, nie wybuchała dzikim szałem, działała rozumnie, ostrożnie, z przezornością męża, który pełznąc ku swojej ofierze, nie robi najmniejszego szelestu.

Serce Alisona dyszało krwawą zemstą nad znienawidzonym, głowa atoli pozostała zimną, obrachującą spokojnie wszelkie szanse, które mogą mu posłużyć, gdy raz zemsty dokona, do zrzucenia z siebie wszelkiej odpowiedzialności, wszelkiego posądzenia.

Góry niepewne, Prusacy tuż blisko, o tem wie każdy. Cóż naturalniejszego, gdy jutro znajdą Servignego zabitego, jak przypuszczenie, że spotkał patrol pruski i od ich kuli poległ. Szalony! po co szedł w nocy, w góry, sam jeden! Od zamku, przecież były wszystkie drogi obsadzone, zamknięte wartami podwójnemi. Wróci przededniem do zamku, nikt go nie widział, nikt go nie posądzi, że był w parku, z którego nie mógł wyjść w żaden sposób.

Odkrycie zbrodni niepodobne. To przekonanie dodało jeszcze zimnej krwi Amerykaninowi, któremu sumienie zresztą nic nie wyrzucało. On istotnie nie bawił się w poglądy idealne, w zaślepieniu namiętnem nie rozróżniał prawa od bezprawia; pamiętał tylko, że proponował wrogowi walkę uczciwą, stawiając własne życie na kartę. Nie przyjął jej! Ha! niechże teraz sam za skutki odpowiada.

Miejsce nie mogło lepiej być obrane. Henryk stoi na podwyższeniu, zasłonięty cieniem od skały padającym i schowany pomiędzy gałęźmi sosny. U jego stóp rozchodzą się dwie drogi, wiodące na prawo i lewo. Servigny musi jedną z nich obrać, musi wyjść na jego strzał prosto, niema żywej duszy w około. Ofiary swej nie chybi z pewnością. Nieraz znajomi podziwiali niesłychaną trafność jego strzałów. Stoi w niemem oczekiwaniu, żaden muszkuł w nim nie drga, oko wytężył przed siebie, a uchem łowi szelest najlżejszy. Dotąd jednak oprócz smętnego jesiennego szumu drzew, głębokie milczenie panuje na okół. Od czasu do czasu odezwie się ponury głos puszczyka, zaszeleści coś w liściach przedwcześnie opadłych, przeleci od drzewa do drzewa wstrętny nietoperz i znowu cisza głucha zapanuje.

Nareszcie od strony zamku słychać krok lekki i pewny. Z pomiędzy skał i zarośli wychyla się postać wyniosła, posuwając się powoli coraz bliżej. Henryk poznał z daleka chód i cały układ Servignego, już się równa ze skałą, za chwilę wyjdzie na drogę. Teraz w świetle księżyca można widzieć doskonale twarz jego. To on bez wątpienia! Amerykanin podnosi rewolwer na cel go biorąc.

Nagle pada kilka strzałów. Z prawej strony od drogi, wyskakują z lasu sosnowego obce postacie i z bronią w ręku godzą na Servignego. Ten nieustraszony i niezmięszany nagłym napadem, cofa się ku skale a oparłszy się o nią, pali do nich także z pistoletu. Nieprzyjaciel ufny w swą przewagę, nie zważa na jego trafne strzały, tylko coraz bliżej naciera, ze wszech stron go otaczając.

Henryk dotąd nieruchomy, z bronią gotową do wystrzału, patrzy na krwawy dramat odgrywający się u stóp jego. Ludwik stoi jeszcze wyprostowany, lecz z czoła zranionego krew sączy się kroplami. Już tylko pałaszem się broni. Widocznie idzie nieprzyjacielowi o to, żeby go żywcem dostać, bo więcej nie strzelają, tylko starają się go rozbroić, co im niebawem udać się musi.

Czuje i widzi Henryk, że mu Prusacy oszczędzą czynu haniebnego. Ludwik się nie podda, a więc zginąć musi. Sześciu przeciw jednemu. Rzecz dziwna! na tę myśl, rumieńcem wstydu spłonęło czoło Amerykanina. Przed chwilą gotów był popełnić skrytobójstwo bez najmniejszego skrupułu; patrzeć atoli, jak w jego oczach sześciu jednego morduje, to podłość nikczemna! Jeszcze sekundę trwa walka w jego duszy — szlachetność wrodzona bierze górę nad nienawiścią i chęcią zemsty. On temu jednemu musi pójść w pomoc, on go musi uratować!

Słychać wystrzał — ostatni z Prusaków na prawo kładzie się na ziemię, drugi strzał — najbliższy tamtego pada również śmiertelnie trafiony. Reszta przerażona zaczyna się cofać w nieładzie, służąc tem lepiej za cel strzałom Amerykanina. Strzał trzeci wali z nóg znowu jednego. Prusacy patrzą w górę, nic nie widzą, a strzały tajemnicze lecą jak z nieba! żaden nie chybi wybranej ofiary. Nieprzyjaciel już się nie cofa, lecz ucieka co sił mu starczy, jeszcze ostatni strzał posyła za niemi w pogoń, mimo odległości jeden z żołnierzów wypuszcza broń z ręki z głośnym przekleństwem i chwyta drugą ręką ramię zranione. Wreszcie nikną napowrót jak cienie w lasku sosnowym.

Ludwik stoi dotąd prawie bezprzytomny, gdy nagle czuje się za ramię pociągniętym i słyszy głos szepcący mu w ucho:

— Uciekajmy! Nie powinni się domyśleć, że nas tylko dwóch było.

Poszedł bezwiednie za tym głosem. W kilku minutach znaleźli się w miejscu bezpiecznem, osłonięci cieniem skały i ukryci między gałęziami drzew. Uratowany oparł się o jedno drzewo, blady, bez tchu, z krwią po skroniach spływającą. Powoli wychodził z osłupienia, w jakiem się znajdował. Zbawca jego stał obok, niemy, ponury, z głębi piersi oddychając, jakby spadł mu z niej ciężar olbrzymi.

Chwilowo byli zabezpieczeni. Ztąd można było widzieć naokoło zbliżającego się nieprzyjaciela. Nie pojawił się więcej; był to patrol, o ile się zdaje na rekonesans w góry wysłany, który widząc Servignego samego, napadł nań, by się jeńcem pochwalić, a może coś się od niego dowiedzieć.

— Panie Alison! Tyżeś to?

— Czyś pan raniony? — spytał krótko Alison.

Ludwik chwycił się za czoło.

— Bardzo lekko! Pierwsza kula musiała mię drasnąć. To nic nie znaczy.

Zamiast odpowiedzi, wyjął Amerykanin chustkę z kieszeni i podał ją milcząc Ludwikowi. Patrzał jak ten złożywszy ją w kilkoro, czoło obwiązał, z pod której to opaski krew sączyła się powoli. Nie zrobił jednak najlżejszego poruszenia, żeby mu w tem dopomódz.

Ludwik chustką własną otarł krew po licach spływającą, potem zbliżył się do swego zbawcy, podając mu rękę z uczuciem.

Tamten wstecz się cofnął.

— Panie Alison! — głos Servignego drżał od wzruszenia — wyrządzono ci wielką krzywdę dziś wieczór. I to twój ziomek tak cię niesłusznie posądził

Henryk nie przyjął ręki podanej.

— Strzeż się za nadto wielkiego zaufania panie Servigny — rzekł dziko. — O włos byłbyś się zawiódł.

— Pan mię uratowałeś, własne życie narażając! Mogli odkryć cię mimo cieniów nocy i napaść na ciebie. Tegom się nie spodziewał po rozmowie, którą mieliśmy przed kilku godzinami. Liczyłem na twój honor, na pańską pomoc nigdy! Nie odrzucaj pan mojej wdzięczności mimo wszystkiego, co jeszcze leży między nami. Pochodzi ona z głębi serca, przekonasz się pan...

— Daj pan pokój! Nie dziękuj! — przerwał mu Henryk gwałtownie. — Nie chcę pańskiej wdzięczności. Mnie najmniej ją winien jesteś.

Ludwik wypatrzył się na niego zdziwiony, nie mogąc zrozumieć postępowania zagadkowego Alisona.

— Wdzięczność! cha! cha! cha! — zaśmiał się Alison z gorzką ironią. — Nie jestem obłudnikiem. Dowiedzże się pan o prawdzie, nim mię uznasz za swego wspaniałomyślnego wybawcę. Stałem w tem miejscu nie poto, żeby cię zasłaniać, ale żeby cię zabić. Nie wstrząsaj głową panie Servigny! Byłem na to zupełnie zdecydowany Jeszcze jeden krok naprzód, a byłbyś padł kulą ugodzony. Nie dziękuj mnie więc, lecz napadowi Prusaków, ten cię jedynie uratował. Patrzeć na mordowanie jednego przez sześciu, wydało mi się zbyt wielką podłością, więc wziąłem cię w obronę.

Po tych słowach nastąpiło głuche milczenie kilka minut trwające. Ludwik podając mu rękę na nowo, rzekł głosem dźwięcznym:

— A jednak dziękuję ci panie Alison po raz wtóry, mimo twego wyznania. Serce twoje lepsze niż ty sam myślisz i odtąd nie możemy być nieprzyjaciółmi.

Henryk znowu roześmiał się dziko.

— Nie? Zawsze pan zapominasz, że nie jesteśmy z jednego szczepu. Podług waszych sentymentalno szlachetnych wyobrażeń, powinniśmy teraz upaść sobie w objęcia, i zaprzysiądz przyjaźń wieczną jeden drugiemu. Nasze usposobienie inne zupełnie. Gdy nienawidzimy, to do ostatniego tchu!" — Oczy jego błysły znowu ogniem dzikim, piekielnym, namiętności zburzonych. — Ja ciebie nienawidzę panie Servigny, boś mi wydarł, co miałem najdroższego. Nie myśl, żem cię zwolnił z danego słowa i że cię będę oszczędzał po wojnie skończonej. Nie myśl, że Jenny będzie kiedy twoją! Jej też nie oddam słowa, które mi dała dobrowolnie, a choćby miała umrzeć z tęsknoty za tobą, moją żoną jednak być musi.

Ludwik spuścił wzrok ku ziemi, a wyraz boleści niewysłowionej, odbił się na jego obliczu.

— Nie myślałem o tem wcale w tej chwili, chciałem ci z serca podziękować! Masz jednak słuszność panie Alison, nasze wyobrażenia tak są do siebie niepodobne, że do porozumienia między nami nigdy nie przyjdzie. Żegnam pana. Muszę iść dalej.

— Dalej? — zawołał Henryk w osłupieniu. — Przecież nie pójdziesz w góry? Widziałeś pan jak droga jest niepewną, jak łatwo spotkać się można z patrolami pruskiemi!

Wiem o tem. Nie daleko ztąd jest ich główna kwatera. A przecież pójdę, jeżeli tylko będzie możebnem przez nie się przebić.

Amerykanin wlepił w niego wzrok ze zdumieniem coraz wzrastającem.

— Sam jeden? będąc rannym? Czyż napad nie przekonał pana o niepodobieństwie tej wyprawy istnie szalonej?

— Właśnie ten napad dodał mi otuchy. Z prawej strony przybywał, ja zaś w lewo idę, znajdę więc drogę wolną prawdopodobnie.

— Wątpię! Chcesz pan zgubić się koniecznie?

— W tym razie — uśmiech boleśny osiadł na ustach Ludwika, a oczy jakby przez łzy patrzały — nie potrzebujemy spotkać się z sobą, a panu oszczędzi się znowu morderstwo. Po tem co tutaj nastąpiło, nie mógłbym broni podnieść przeciw panu. Jeszcze jedno panie Alison. Nie pojmuję jak mogłeś dostać się w góry przez naszą linję i o to wcale nie pytam; muszę jednak prosić pana o słowo honoru, że dalej za mną nie pójdziesz i wrócisz nazaz tą samą drogą do zamku. Tego wymagam; racz pan nie odmawiać mej prośbie.

Henryk patrzał ponuro przed siebie.

— Nie mam tu już w górach co robić, wracam nazad w tej chwili.

— Dziękuję panu serdecznie i żegnam jednocześnie. — Odwrócił się i zniknął w zaroślach.

Henryk powiódł za nim oczyma.

— Otóż idzie pomiędzy nieprzyjaciół spokojny, nieustraszony, z tem spojrzeniem łagodnem, zadumanem. A jednak jest dziwna moc w jego oczach, przed którą ja sam wzrok musiałem spuścić. O! ten Francuz! — tu z dziką złością pięści zacisnął. — Mogę ją zmusić, że będzie moją żoną, serce jej jednak na wieki przy nim zostanie. Ona go nie może zapomnieć, nigdy! nigdy! W tej chwili to pojąłem.

Na drugi dzień, nad wieczorem, nadciągnął oddział kapitana Giraudaux, któremu porucznik Servigny służył za przewodnika. Nie spotkali się nigdzie z Prusakami.

Servigny wywiązał się z zadania znakomicie! Napad podwójny, który tak się nie udał Prusakom na zamek w B* i na oficera samopas idącego, przekonał ich, że niezdrowo jest kręcić się po górach nieznanych, gdzie z pomiędzy skał ręka niewidzialna sypie kulami, a dzielni Francuzi bronią się też nie najgorzej.

Garstka naszych bohaterów, mając w mieszkańcach okolicznych sprzymierzeńców i policję wyborną, wzmocniona dość licznym zastępem kapitana Giraudaux opuściła w krótce zamek i wieś B*, łącząc się szczęśliwie z armią południową Loarską.

Może kiedyś jeszcze spotkamy się z nimi, a przynajmniej z naszymi lepszymi znajomymi.

XII.

Upłynęło prawie pół roku od owej strasznej nocy jesiennej, która taką trwogą śmiertelną napełniła nie jedno serce, która dla wielu... była nocą ostatnią!

Zima przyszła pełna lodu i śniegu, a mimo to namiętności wrzały, chucie rozkiełzane waliły i paliły, co wieki zbudowały i przysporzyły.

Niema żywiołu bardziej niszczącego, jak te najniższe warstwy społeczne, ludem nazwane, które od czasów greckich i rzymskich pozostały równie dzikie, równie ciemne i brutalne, mimo cywilizacji wieku dziewiętnastego, dyszące zemstą przeciw wszystkiemu, co wyżej od nich stoi, mszczące się z rozkoszą nawet na martwych kamieniach.

Nieprzyjaciel podstąpił pod Paryż, to serce całej Francji. Zniszczenie straszniejsze, niżeli sami Prusacy, sprawiała wojna domowa we wnętrzu Paryża, sprawiały jego „Szumowiny“ rozwścieklone zimnym głodem i nędzą wszelaką!

Powtórzyły się sceny najkrwawsze z rewolucyi r. 1793, poasardki francuzkie utrzymały się i tym razem na wysokości swojej piekielnej reputacji. Babilona nowoczesna zamieniła się niemal w stos gruzów spalonych.

Wreszcie skończyła się wojna, skończyło się Paryża oblężenie, bo na świecie wszystko przemijające, boleść i radość, szczęście i niedola.

Prusacy zabrali dwie prowincje, Alzację i Lotaryngję, tę kolebkę najdzielniejszych książąt francuzkich, nałożyli na zwyciężonych kontrybucje niesłychane, a jednak Francji nie pokonali. Żywotność jej okazała się silniejszą, niżeli wszelkie losu pociski. Dzięki znakomitej operacji finansowej Thiers'a, miliardy ściągnięto przeważnie z Niemiec za pomocą pożyczki międzynarodowej, podkopały tamże kredyt, podnosząc niemal byt materjalny w samej Francji.

Sprawdziły się przepowiednie Foresta umierającego. Francja przeszła przez kataklizm olbrzymi, straszliwy; wytoczono obficie krew serdeczną z jej łona, a jednak moralnie zyskała.

Rak, nazywający się cesarstwem, przestał toczyć jej ciało. Dziś, pod rządami rzeczypospolitej, zapomniała prawie o strasznych przejściach, a ostatnia wystawa paryska, przekonała świat cały namacalnie, jak Francja wysoko stanęła moralnie i materjalnie.

Wiosna zajaśniała z całej swej krasie odwiecznej. Wszak ona jest młodością roku, a wiek młodociany tak rychło i łatwo o wszystkiem zapomina! Ziemia zresztą jest matką czułą i okrutną zarazem. Obdziela ona rok rocznie dzieci swoje skarbami z jej łona wydartemi, nie troszcząc się z drugiej strony bynajmniej, ile tysięcy pod nią na wieki spoczęło, ile wdów i sierot w żałobie, zalewa się łzami gorzkiemi.

Płocha zalotnica, zrzuca z siebie całun zimowy i stroi się we wszelkie blaski młodości, ozdabiające ją co roku. Ta krew i te ciała pogrzebane, zrobią jeszcze bujniejszą jej zieleń, powiększą ilość kwiatów, rozkwitłych na jej niwach.

Miasto L* sercem tylko dzieliło niedolę ogólną i bolało moralnie nad nieszczęściem kraju rodzinnego. Dziś witano radośnie, tak tu, jak i w każdym Francji zakątku, braci wracających bądź z niewoli pruskiej, bądź z rozwiązanych ostatecznie oddziałów, niepotrzebnych już obecnie. Groza wojny tu nie dosięgła. Witano zwyciężonych to prawda, widziano jednak, że to nie było ich winą. Serca biły na ich przyjęcia, ramiona do nich się wyciągały, a jedynie w tych piersiach ból gościł, te oczy z łez nie osychały, które wiedziały, że tu na ziemi już nie będą oglądać tych, których widok był dla nich szczęściem całem.

Nie stawiano bram tryumfalnych, nie obwieszano jak u Niemców kamienic chorągwiami. Tamci święcili dumnie pamięć zwycięztw krwawych, Francuzi zwyciężeni święcili jedynie radość z odszukanych osób, bliskich ich sercom, a o których życie drzeli przez tyle miesięcy. Każdy dom niemal, do którego ktoś z jego dawnych mieszkańców powrócił, stroił się godowo, by dawno niewidzianego gościa przyjąć należycie.

Dom doktorów Etienne należał do liczby tych, które nie miały się kim cieszyć, a przeciwnie przyoblekały kir żałoby po świeżej stracie. Wszak poległ ich rodzony siostrzeniec.

Od ulicy dom cały wyglądał nader ponuro. Drzwi główne zamknięte, żaluzje pospuszczane, nad drzwiami, zwyczajem francuzkim, zawieszony wieniec z nieśmiertelników wskazywał przechodniom, że tędy śmierć przeszła i że tylko przyjaciół z kondolencją przyjmować się będzie.

Państwo Etienne, mimo żalu szczerego po Jakóbku, którego tak bardzo oboje lubili, nie przeczuwali w nim siostrzeńca. Mimo względu na Joannę, dotąd pogrążonej w smutku ponurym, nie mogli przenieść tego na sobie, żeby po cichu, całkiem prywatnie nie zgotować przyjęcia uroczystego ich ukochanemu profesorowi, bohaterowi prawdziwemu! — jak mawiał o nim z dumą pan Etienne. — Właśnie na jutro spodziewano się w mieście L* jego przyjazdu. To też doktor z żoną byli zajęci od rana porządkowaniem i strojeniem pomieszkania profesora, co wszystko własnoręcznie wykonywali.

W tej chwili stał właśnie doktor na najwyższym szczeblu olbrzymiej drabiny, walcząc z końcem wieńca, który niedość się układał, a miał zakończyć imię z kwiatów jaśniejące nad drzwiami wiodącemi do pokoju, w którym zwykł był Ludwik pracować. Żona stała u stóp drabiny, krytykując bez miłosierdzia pracę swego małżonka. Komenderowała nim w prawo i w lewo, wyżej, niżej, wreszcie uznała, że imię w ogóle krzywo zawieszone. Doktor cały w potach poprawiał mrucząc i narzekając, nakoniec zawołał tracąc cierpliwość.

— Nie możesz z bliska tego tak dobrze ocenić moje dziecię. Cofnij się do drzwi tamtych, i wtedy przypatrz się całości. Tu idzie o wrażenie ogólne, a nie o matematyczną dokładność linij pojedyńczych.

Pani doktorowa, cofała się z wzorową uległością, w chwili jednak, gdy o drzwi się oparła, chcąc ztamtąd lepiej oceniać „wrażenie ogólne“, nagle drzwi otworzono, a wchodzący pochwycił z przestrachem w swe ramiona doktorowę, która bez tej pomocy byłaby z pewnością upadła.

— Kolego! — zagrzmiał głos stentorowy pana Etienne ze szczytu drabiny — stoj, gdzie jesteś! — Dobrze, a teraz mi powiedz, czy wieniec za wysoko lub nisko i czy imię istotnie krzywo zawieszone?

Doktor Buthot, do którego były te słowa wystosowane, popatrzył najprzód w górę, potem na swój ciężar z przerażeniem. W pierwszej chwili był w niepewności, ażali nie każą mu stać nieruchomo ze starą doktorową w objęciu. Gdy zrozumiał o co idzie, posadził najprzód staruszkę na krześle najbliższem, z grzecznem przeproszeniem za swą nieuwagę, następnie wziął na oko pracę doktora.

— Pięknie! doskonale! tylko że...

— A co niemówiłem! — krzyknął doktor tryumfująco. — Wrażenie ogólne! o to głównie idzie.

Ostatnim młotka uderzeniem feston uparty przymocował, poczem zlazł szybko z drabiny i pot obfity z czoła ocierając odłożył młotek i serdecznie dłoń młodego kolegi uścisnął. Od swego powrotu, doktor Buthot bywał bardzo częstym i pożądanym gościem u państwa Etienne, z tytułu swej przyjaźni z Servignym i przysług rozmaitych, które oddawał Joannie w zamku B* po śmierci jej brata.

— Chciałem tylko wyporządkować pomieszkanie Ludwika, a państwo łaskawi robicie mi taką niespodziankę! Nietylko wszystko w porządku, lecz nawet godowo przybrane. I pan trudzisz się w własnej osobie.

— Ja sam! ja sam! i tylko ja — zahuczał p. Etienne okrutnym basem wyjątek z jakiejś starej piosneczki, uszczęśliwiony uznaniem i pochwałą — to nic jeszcze! chodź no pan do „Sanctorium“ — naszego profesora, a tam dopiero naszą czynność podziwiaj.

Porwał kolegę pod ramię, i wprowadził do „Sanctorium“ Ludwika. Inaczej wszystko się przedstawiło, niżeli w owym czasie, gdy siedział tu profesor po dniach całych bez ruchu, bez powietrza, jedynie pyłem książkowym oddechając. Wszędzie znać było skrzętną, porządkującą rękę kobiety. Firanki były z pewną elegancją w fałdy ułożone, czystość była wzorową, biórko, ściany, nawet szafy z książkami ozdabiały festony i wieńce. Cały pokój wyglądał jak zielona wiosny świątynia, przez okna otwarte wpadał blask słońca, wszystko woniało wiosny świeżością.

Rzecz dziwna. Młody lekarz wyglądał raczej zaklopotany, niżeli ucieszony, powiedział coś z cicha „o ślicznem urządzeniu; wielkiej łaskawości“ w ogóle zdawał się nie swój, i jakoby przygnieciony tyloma dowodami przyjaźni pp. Etienne dla Servignego.

Doktor na szczęście nie uważał tego pomieszania i przymusu w swoim gościu. Był nadto zajęty i zatopiony w myśli, coby jeszcze dodać, żeby godniej przyjąć kochanego profesora.

— Prawda, nie źle się to razem wydaje? — rzekł uśmiechając się i ręce z zadowoleniem zacierając. — To daremna! mimo naszej osobistej żałoby, nie mógł mój drogi profesor tak bez żadnego przygotowania wstąpić w progi mojego domu, który będzie miał to szczęście witać go pierwszy. No! przygotowań nie braknie. Całe miasto L* szczyci się nim, jako swoim bohaterem i poetą, i wywyższa go ponad wszystko i wszystkich co byli, są i będą.

— Młodzież formalnie rady dać sobie nie może i lata jak opętana z wielkiego entuzjazmu! Jeden z ich profesorów, który bił się z bronią w ręku i jak walecznie. Powiadam ci kolego co tu był za hałas, za każdym twoim listem, a dopiero ten zachwyt, gdyś nam jego poezje przysełał. Miasto wraz z uniwersytetem głupiało z podziwu! a każdy wiersz jego, jak mówił niegdyś złoś-

liwy pan Atkins, wpadał między nas jak zapalona rakieta, młodych i starych równo rozpłomieniając. Wiesz przecie jak go myślą przyjąć na uniwersytecie.

— Coś o tem słyszałem. Prosiłem jednak tych panów, żeby wstrzymali się w przygotowaniach. Wielkie pytanie kiedy Ludwik tu zawita.

Pan Etienne omało z wielkiego przerażenia nie wypuścił z rąk wazona z kwiatami, który w rękach trzymał, chcąc go gdzie indziej umieścić.

— Nie wraca? Na Boga żywego! Przecież jego pułk jutro napewno przychodzi!

— Niezawodnie! Wątpię atoli, czy Ludwik przyjdzie z nim razem. Podług listu ostatniego, który dziś odebrałem, zostaje w Brest ile się zdaje, i nie tak prędko do L* przybyć myśli.

Doktor postawił tak gwałtownie wazon na stół, że aż spód odleciał.

— Żeby też raz użyto całego wojskowego rygoru, przeciw temu upartemu porucznikowi i zmuszono go przybyć tutaj! — zawołał z oburzeniem. — Słyszał ktoś coś podobnego? Odjeżdza ztąd jako chory, na pół opuszczony pacjent, a dziś zdrów, uwielbiany, podziwiany przez świat cały, i chce w Brest zostać, nie chce się tu wcale pokazać! — W tem coś jest kolego! Czemuż ty zostałeś zaraz uwolniony? Mógł profesor jednocześnie z tobą tu przybyć. Ale on od nas wyraźnie ucieka. Przedtem zasłaniał się służbą, teraz pułk tu przychodzi, a on tam zostaje. Doktorze, mów prawdę. Ty wiesz wszystko bez wątpienia.

— Nic a nic niewiem — tłumaczył się doktor wymijająco. — Może boi się owacji, którą tu dla niego przygotowują. Pan wiesz, że on tego znieść nie mógł, żeby go na świeczniku stawiono.

— To niechaj się do djabła znosić przyzwyczai! — zawołał pan Etienne w pasji. — Uczonemu przebaczaliśmy nieśmiałość niesłychaną i zamknięcie li ze swojemi księgami, lecz gdy rozwinął skrzydła orle do lotu i wzbił się jako poeta pod niebios stropy, musimy sobie wyprosić podobne dziwactwa!

Buthot potrząsł smutno głową.

— Nie rób pan sobie zanadto wielkich nadziei na przyszłość Ludwika, jako poety. Lękam się bardzo, że razem z pałaszem złoży i natchnienie, zakopie się znowu w stos książek zbutwiałych, zamknie i oddzieli od świata rzeczywistego gorzej niż kiedykolwiek, i za rok najdalej, ujrzymy go na tym samym punkcie, chorym na duszy i ciele, jakim był przed wojną.

— Co pan mówisz? — zawołał p. Etienne przerażony.

— Tak! tak! Jego usposobienie jest całkiem potemu. Ludwik jest niepoprawnym marzycielem. Mimo swej genialności, ma on li energję chwilową. Takie natury w chwili wielkiego niebezpieczeństwa, lub wielkiego uniesienia, cudów dokazują, a skoro im braknie tego bodźca nadzwyczajnego, zapadają znowu w letarg moralny, w zadumę chorobliwą. Życie codzienne ich niepociąga, nie ożywia — bo go po prostu nierozumieją.

— Piękne widoki — mruczał pan Etienne z niechęcią chodząc tam i nazad po pokoju — święta prawda! O tem, co gnieździ się w głowie takiego uczonego, lub poety, my ludzie rozsądni, nie mamy najmniejszego wyobrażenia.

Buthot patrzał zamyślony przez okno; pomiędzy drzewami ogrodu, przesuwała się czarno ubrana postać kobieca.

— Bodźca mu potrzeba — mówił dalej ciężko wzdychając, — istotę obdarzoną wolą silną, energiczną, której on nie posiada, żeby go sprowadzała na ziemię co dzień i co godzina, godząc go rzeczywistością, żeby podjęła za niego walkę z życiem codziennem, a wlewała mu w duszę wiarę i przekonanie, że ma talent genialny, człowiek ten mógłby dosięgnąć szczytu wielkiego! Lecz gdy charakter i tak chwiejny, niepewny, złamie jeszcze namiętność nieszczęśliwa.... (C. d. n.)

ŻÓŁTA RÓŻA.

NOWELLA Z FRANCUZKIEGO PRZEZ HALINĘ.

W piękny i świeży poranek wiosenny, wysiadł z woza pocztowego, w okolicy Paryża, młody człowiek, wytwornie ubrany, bardzo przystojny, a całem ułożeniem zdradzający wiele dystynkcji i elegancji. Dom, przed którym wysiadł, stał prawie na pustkowiu; otoczony był jednak w niewielkiej odległości wieńcem przeróżnych domów wiejskich i pałacyków, należących widocznie do dzierżawców, lub właścicieli, w tej okolicy zamieszkałych.

Młodzian rozglądał się w koło, jakby niepewny, w którą udać się stronę; wreszcie bystre jego oko spoczęło na długiej ulicy kasztanami wysadzanej, nie dalej jak ćwierć mili oddalonej, na końcu której widział dom obszerny, na pagórku zbudowany, z płaskim, włoskim dachem, czterema wieżyczkami ozdobiony, mający oczywistą pretensją uchodzić za pałac.

Nasz podróżny, snać zdecydowany dokąd ma się udać, skinął na wieśniaka, który stał na środku drogi z rękami w kieszeniach, przypatrując się oczami bezmyślnemi pięknemu Paryżaninowi, a wetknąwszy mu w rękę jakąś drobną monetę, rzucił na plecy chłopca niewielki kuferek; sam wziął torbę podróżną, i rozkazał mu iść za sobą. W krótce stanął przed „pałacem“. Dziedziniec obszerny wyglądał rozkosznie, jak jeden wielki kosz kwiatów; kolumnada była ozdobiona figurami olbrzymiemi z gipsu, które przedstawiały cztery pory roku, przed bramą wchodową leżały dwa lwy z „terro-cotty“, jakby wnijścia strzegły. Gdy wszedł do obszernej sieni, spotkał się w niej z parobkiem, przybranym na prędce w liberję lokaja, która nie była na niego robioną i nie potrafiła zmienić w niczem, jego arcy-głupiej miny i gburowatej postawy.

Paryżanin zmierzył parobka wzrokiem pogardliwym, złośliwie się uśmiechając obtrzepał laseczką buty z kurzu, poprawił na sobie ubranie, zarzucił w tył włosy, które mu piękne i jasne czoło zakrywały i zapytał od niechcenia:

— Czy pan Simart w domu?

— Nasz pan wyszedł — odpowiedział gburowato, z widoczną niechęcią, lokaj improwizowany, przytrzymując

oburącz za obrożę prześlicznego, ogromnego wyżła, czarnego jak heban, który usłyszawszy głos obcy, wyskoczył z budy, zaczął szczekać przeraźliwie na nieznajomego i napełniać cały dziedziniec swoim głosem tubalnym.

Zniecierpliwiony piekielnym hałasem, który mu do słowa przyjść nie dawał, młodzian wyciął psa porządnie trzcinką przez nos i zmusił go tem energicznem wystąpieniem do pospiesznej ucieczki i schowania się nazad do budy. Wprawdzie wyrwawszy się z rąk parobka pies wyjąc, miał ochotę rzucić się na przeciwnika, postrzegłszy jednak, iż ten go się wcale nie uląkł, przeciwnie podnosi laskę w górę, w zamiarze łatwym do odgadnienia, dbały o całość swojej skóry, wyniósł się pokornie i cicho, spuściwszy uszy, i ogon wziąwszy pod siebie.

— Co panu winien nasz „Soliman“, żebyś go pan tak mordował? — krzyknął parobek zaperzony, z pewnym jednak także przestrachem, na ową laskę spoglądając.

Młodzian nie uznał za stosowne odpowiedzieć, wziął tylko z rąk wieśniaka kuferek, a oddając go temu drugiemu wraz z torbą, rzekł tonem rozkazującym.

— Gdy twój pan wyszedł, jest zapewne w domu p. Teissier, do którego przyjeżdżam. Prowadź mnie więc do niego i rzeczy moje zanieś do jego pokoju.

Człowiek nieokrzesany i brutalny, ulegnie zawsze mimo woli wyższemu moralnie, a cóż dopiero, jeżeli uważać będzie, że i siłę fizyczną ma ten ktoś za sobą. A i ten przymiot mają zwykle natury brutalne, iż silniejszemu pragną nie tylko przez uległość, lecz jednocześnie przez pochlebstwo, przypodobać się i ująć go sobie; to też lokaj pana Simart, mrucząc wprawdzie pod nosem, nie tylko wziął rzeczy natychmiast, ale przechodząc koło „Solimana“, którego bronił przed chwilą, kopnął nawet psa spokojnie leżącego, chcąc tem widocznie przypodobać się nieznajomemu. Pies tak pokrzywdzony, rzucił się z wściekłością na swego prześladowcę i nie tylko z połowy długiego surduta, zrobił mu za pomocą zębów krótki szpencer, lecz ostre te zęby utkwiły gdzieś głębiej jeszcze pod surdutem, bo chłopczysko wrzasnął z bolu i zaklął na czem świat stoi!

— I powiedzieć tu komu, że nasza pannuńcia tego rozbójnika psa tak kocha, iż mu się trzeba dawać gryźć i obdzierać, lub pójść precz ze służby! Szkoda że pańska laska nie wybiła temu psu djabelskiemu wszystkich zębów. Pan nasz dawno byłby go kazał wziąć na łańcuch, ale panna Melanja, ani pozwoli wspomnieć o tem.

— Więc panna Melanja lubi psy? — przemówił półgłosem nieznajomy. — Ciekawa też rzecz jak się potrafi zgodzić z Teissier'em, który ma do psów wstręt nieprzezwyciężony. Ba! od czego miłość? Przecież ona zawsze cudów dokazuje.

Wstąpili na wschody ubrane na każdym załomie drzewami cytrynowemi i pomarańczowemi; na końcu dość, długiej galerji, która szła wzdłuż pokojów pierwszopiątrowych, chłopak przy drzwiach stanął, a palcem na nie wskazując rzekł krótko:

— Tutaj.

Pierwszym przedmiotem, który zwrócił uwagę wchodzącego do pokoju, był człowiek przy biórku siedzący. W obu dłoniach trzymał głowę na łokciach się wspierając, za uchem tkwiło pióro, jak to zwykli czynić skrybenci w kancelarjach, lub biórach urzędowych; przed nim leżały ćwiartki papieru gęsto zapisane. Zdawał się zadumany głęboko, lecz nie bardzo przyjemnie.

— A! to ty — wycedził przez zęby zamyślony jegomość, jedną dłoń od głowy odsuwając. — Czekałem, wyglądałem cię niecierpliwie. Mikołaju! połóżcie w rogu pokoju rzeczy tego pana i idźcie sobie.

— „To ja! to ja, twój wierny druch!“ — zadeklamował, a raczej zaśpiewał wyjątek z jakiejś opery młody trzpiot, ściskając rękę siedzącego. — Lecę na skrzydłach, by poprowadzić z gracją, którą chcę olśnić wszystkich parafianów, twoją narzeczoną do ołtarza. Lecz kiedyż ślub?

— Zdaje mi się, że już po jutrze — odparł Teissier głosem ponurym.

— Zdaje ci się, nie wiesz więc tego z pewnością? Ha! ha! ha! paradny jesteś. Czemu tu się jednak dziwić? Z twoim charakterem chwiejnym i niezdecydowanym, czy możesz wiedzieć dziś, co zrobisz jutro?

— Siadaj no tu koło mnie blisko, mój kochany Dramond i pogadajmy — odrzekł z ciężkiem westchnieniem aspirant do rozkoszy stanu małżeńskiego. — Widzisz mnie w położeniu najprzykrzejszem dla człowieka honorowego. Gdym ci doniósł o przyszłym związku z panną Simart, byłem w uniesieniu. Patrzyłem na nią przez różowy pryzmat zachwytu bez granic, zdawała mi się otoczona blaskiem nadziemskim, który skrywał przedemną rzeczywistość smutną i poziomą...

— Jednem słowem, mówiąc prozą, a nie językiem pół-bogów, którego używasz niepotrzebnie, widziałeś dotąd świetny wierzch szaty, teraz zaś spostrzegłeś, że oná ma także podszewkę. Czy wolno wiedzieć coś w tej podszewce dopatrzył?

— Djabła! wcielonego djabła! — mruknął Teissier, gryząc rozpaczliwie pióro, które dotąd za jego potężnem uchem spoczywało.

— Czy to delikatne określenie stosuje się do twojej narzeczonej? — zapytał Dramond na nowo śmiechem wybuchając.

— Ciszej! na miły Bóg ciszej! żeby nas kto nie podsłuchał.

— Tam do licha! Czyżbyśmy byli w pałacu Nerona, gdzie mury uszy miały? No! no! przysuńmy krzesło do krzesła, tak, dobrze... teraz słucham, a raczej ty mnie posłuchaj. Stawiam sto przeciw pięciu, że zgadnę naprzód twoją całą spowiedź. Zastałeś wielki niedobór w posagu obiecanym, co? he?

— Przeciwnie! po nieboszce matce, ma panna Melanja dwadzieścia tysięcy franków rocznego dochodu, drugie tyle daje jej ojciec, na co zupełnie za jego życia nie liczyłem.

— Więc odkryłeś coś podejrzanego w rodzinie? Dziedziczne szaleństwo... może którego z tych poczciwców powieszono, lub kołem łamano? Albo też wskutek zanadto bliskiego pokrewieństwa, z rodem wprawdzie nader staro-

żytnym, królów Jerozolimskich, odzywa się niekiedy we familji trąd, który lubiał nawidzać owe pokolenia.

— Fe! co też ty pleciesz? Ród Simart'ów i Valonne'ów, to najczystsza rasa bretońska, ludzi „bez bojaźni i bez zarzutu".

— To chyba kupiłeś za drogie pieniądze tajemnicę od garderobianny panny Simart, że dostarczycielka gorsetów, ma nielada zadanie, by uporządkować, a raczej zamaskować znaczne nieprawidłości jej kibici?

— Co za profanacja! Widzisz, tam w ogrodzie, tę młodą, wyniosłą topolę! Oto kibić mojej narzeczonej.

— Coraz gorzej! Niezawodnie spostrzegłeś się trochę zapóźno, że ubiegł cię w sercu narzeczonej, pewien młody kuzynek, oficer od dragonów, lub lansierów, że w nim na śmierć zakochana i......

— At! dałbyś pokój! Nie ma kuzynka, tyle co na mojej dłoni i jestem najmocniej przekonany, że nie kochała nigdy nikogo, z wyjątkiem....

— Z wyjątkiem Solimana.

— Znasz tę czarną bestję! — krzyknął Teissier podskakując w górę na krześle, jakby go kto minami podsadził. — Ugryzł cię może?

— O! to! to! jeszczeby tego brakło! Ja go przeciwnie ściągnąłem na przywitanie laską co się zowie.

— Przyjacielu, niech ci to Bóg odda stokrotnie! Oto jak Tomasz panu Jezusowi, tak i ty położyłeś w tej chwili palec na moją żywą ranę. To zwierzę przeklęte jest powodem moich ciężkich trosk i zgryzot!

— Jakto?

— Wiesz przecie, że wszystkie zwierzęta są mi wstrętne, a psów w szczególności znosić nie mogę. Ten pies z piekła rodem! musiał wyczytać z mojej fizjonomji, jak go nienawidzę, bo od chwili mego tu przybycia, jest moim wrogiem nieubłaganym i nie opuści żadnej sposobności, żeby mnie w nogę nie ugryzł. Pierwszy raz udałem, że się uśmiecham; za drugim napadem skrzywiłem się znacząco, wreście poprosiłem grzecznie pana Simart, żeby psa kazał wziąć na łańcuch. Pan Simart, byłby natychmiast przystał na moje żądanie, panna Melanja jednak wzięła stronę „Solimana", wymawiała mi z goryczą, że chcę biednego psa pozbawić wolności, nazwała mnie człowiekiem nieczułym, niesprawiedliwym, bez serca, bez najmniejszej szlachetności i tem podobnie... Ta polemika o psa nie ustaje między nami ani na chwilę, co dzień nawet staje się przykrzejszą, mimo, iż staram się uniknąć wszelkich nieporozumień. „Soliman", jest skałą podwodną, o którą może się łatwo rozbić nawa mego przyszłego małżeństwa. Gdyby tylko szczekał? Ale bestja kąsa, na prawdę kąsa!

— Szalony! — rzekł Dramond wzruszając ramionami. — Czy nie myślisz dla głupiego psa zrywać z krociową i piękną narzeczoną? Czyż nie wiesz jak się robi w podobnym wypadku? Do dnia ślubu nosi się po kieszeniach najulubieńsze przysmaczki dla faworyta, a po ślubie daje się psu pigułkę, by poszedł połączyć się czemprędzej ze swoimi przodkami, w świat lepszy, lub gorszy, jeżeli prawda, że z piekła ród jego się wywodzi.

— Myślałem ja już o tem. Zapewne zło w tym względzie dałoby się jeszcze naprawić, te atoli zajścia pogrążyły mnie w cały ocean obaw i niepewności, co do mego przyszłego spokoju domowego. Charakter nalepiej odmalowuje się w drobnostkach. Żywość, duch sprzeczności, zmienność humoru, gwałtowność nawet, wszystkie te wady uderzyły mnie w pannie Melanji. W walce codziennej ze mną, nie szczędziła wcale dowodów tychże. Czyż możesz się dziwić, że czuję trwogę, co do mego z nią pożycia małżeńskiego? Jeżeli dziś jest tak porywczą, cóż to będzie po ślubie?

— A więc złośnica, co się zowie?

— Złośnica, jak złośnica, lecz w najwyższym stopniu kapryśna, samowolna, nie rozsądna, o ile nią tylko być potrafi jedynaczka rozpieszczona. Poznasz ją zresztą i sam ocenisz, czym przesadził. Jest ona aż nadto szczerą co do wad swoich; ręczę, że wieczór nie minie, a da ci nie jedną sposobność, byś ją mógł ocenić należycie. Ty nie myślisz o żeniaczce Françis? O! ileż oszczędzasz sobie nieprzyjemności!

— Mnie myśleć o żenieniu! — zawołał Françis Dramond, z odcieniem przestrachu. — Ja! i żenić się. Dotąd mi to w głowie nie postało. Małżeństwo to port bezpieczny, a ja lubię morze burzliwe, zmienne. Ty wcale co innego! Brzuszek ci rośnie, a w miarę tego włosy z głowy uchodzą. Jesień życia zbliża się wielkiemi krokami mój Hektorze, czas więc i wielki, zawinąć do portu spokojnego, jakim jest małżeństwo. Ja atoli jestem dotąd w pełnym rozkwicie. (C. d. n.)

RÓŻNOŚCI ZE ŚWIATA.

Baveno, rezydencja królowej Wiktorji. W cichym i uroczym zakątku Lombardji, nad brzegami cudnego jeziora Maggiore, zdala od zgiełku ludnych stolic, kryje się przed dwudziestu pięciu laty dopiero powstały szereg will, będących własnością możnych tego świata.

Na niewielkiej przestrzeni, mającej zaledwie cztery kilometry kwadratowe, sztuka, uzupełniając naturę, stworzyła czarowną miejscowość.

W gór koronie, otoczonej łańcuchem ogrodów i gajów, stanęło w krótkim czasu przeciągu trzydzieści wspaniałych will, przewyższających się nawzajem wspaniałością struktury.

Willa „Clara", własność p. Karola Henfrey, w której zamieszkała od kilku tygodni królowa Wiktorja, jest prawdziwie królewską rezydencją.

Na drodze doń prowadzącej, stoi prześliczny domek, w formie szałasu szwajcarskiego, przeznaczony dla odźwiernego.

Zamek p. Henfrey, z pięcioma śmiało ku niebu sięgającemi wieżycami, zbudowany jest z czerwonej cegły i białego kamienia baweńskiego, a pokryty cynkiem.

Sztuka budowniczych osłoniła go od palących słońca promieni i zabezpieczyła od dotkliwych zmian temperatury.

Z okien pałacu wspaniały widok na wody jeziora Maggiore i piętrzące się góry.

Szerokie i wspaniałe schody, ozdobione bronzowemi statuami, z których wytryskając fontanny, prowadzą na taras.

Ztąd, przeszedłszy trzy loże i wielki przedsionek, wchodzi się po bogatych, z marmuru kararyjskiego wykutych schodach, do wnętrza pałacu.

Na pierwszem piętrze są: balowa sala, wypoczynku i koncertowa, zdumiewające zbytkiem i olśniewające nagromadzonemi kosztownościami.

Ściany salonów obite materjami złotem tkanemi, a posadzki ułożone z mozajki weneckiej, pokrywają dywany chińskie i indyjskie.

Gdzie okiem rzucisz, wszędzie wytworne meble, kosztowne wazony japońskie, porcelana sewrska, zwierciadła weneckie, posągi bronzowe i marmurowe, wreszcie wysokiej ceny obrazy, zapełniają ten rozkoszny pałac bogacza angielskiego.

Na drugiem piętrze są prywatne pokoje królowej i dam honorowych.

Sypialnia monarchini angielskiej szczególnym odznacza się przepychem i elegancją, dziwną i uderzającą stanowiąc sprzeczność z zwyczajnem łóżkiem orzechowem, umyślnie z Londynu dla królowej sprowadzonem.

Zamek ukryty jest w cieniu gęstego ogrodu, woniejącego kwiatami.

Ogród zdobią posągi, wodotryski i bogata oranżerja, poza którą rozciąga się miły lasek.

Na wzgórzu stoi wspaniały kościół anglikański, zbudowany w kształcie ośmiokątu, z szeregiem kolumn.

Zewnętrzna strona świątyni ozdobiona płaskorzeźbami, a wnętrze błyszczy od złota, imponując marmurowemi ozdobami i mozajką, imitującą dokładnie znajdującą się w kościele św. Marka w Wenecji.

Okna świątyni przystrajają kolumny marmurowe, a na szybach mistrzowsko są przedstawione epizody z Pisma świętego.

Ołtarz tylko jeden. Na uwagę zasługują też kosztowne organy.

U sklepienia zawieszony bogaty żyrandol, w stylu hebrajskim.

Klęcznik królowej, misternie wykuty z marmuru kararyjskiego, wysadzany złotem i drogiemi kamieniami, wewnątrz obity jest karmazynowym aksamitem.

Z kościoła droga pomiędzy kwiatami wiedzie ku zamku.

Dostojna monarchini, w towarzystwie nadobnej księżniczki Beatrix, częste robi po okolicy wycieczki.

Murzyn. Znany autor francuzki, Alfons Karr, przyjął sobie świeżo do usług murzyna...

Ale murzyn ów był wzorem lenistwa, każda robota była mu wstrętną i zamiast zajmować się posługą domową, wysiadywał godziny całe z założonemi rękami.

Pewnego dnia, nie mogąc doczekać się obówia, z których wyczyszczeniem murzyn zwlekał zawsze do ostatniej chwili, Alfons Karr zawołał z gniewem:

— Słuchajno błaźnie, jeżeli nie masz czasu czyścić mi obówia, to przyjmij służącego.

Wystawcie sobie nazajutrz zdziwienie znakomitego powieściopisarza, kiedy z rana otworzywszy oczy, ujrzał jakiegoś obcego chłopca, układającego na krześle obok łóżka suknie starannie wyczyszczone i buty świecące się jak zwierciadło.

— Co to jest? — zapytał Karr — zkąd się ty wziąłeś tutaj?

— To są pańskie rzeczy...

Karr zadzwonił i murzyn ukazał się we drzwiach.

— Słuchajno smoluchu, kto to taki ten, który przed chwilą wyszedł z mojego pokoju?

— To proszę pana służący, którego mi pan kazał przyjąć.

Karr, który ma wielce oryginalne poglądy na życie, nie odpowiedział ani słowa i ubrawszy się najspokojniej, nie przeszkadzał panu zastępcy murzyna dopełniać swoich czynności.

I wszystko szło jak najlepiej, gdy nagle pewnego rana Karr, murzyna wchodzącego z rzeczami, zapytał:

— A cóżeś u licha zrobił ze swoim lokajem?

— E... odprawiłem go, proszę pana... leniuch że aż strach!

Z seraju. Korespondent z Konstantynopola opowiada następujące zdarzenie: „Piękna Hafiza, żona Kafedżego baszy Mahmuda Effendego, znalazła się pewnego dnia we wsi Kefiliköj, położonej w romantycznej okolicy między Terapją i Bujukdare na rendez-vous z Raif bejem, adjutantem sułtana. Zakochana para, zapomniała wśród zachwytu o świecie pod cieniem platanów, jak gdyby w raju proroka i nie miała przeczucia, że oszukany mąż wysłał policję za swoją żoną.

Piękna Hafiza ratuje się ucieczką z rąk policji i nie zostaje odstawioną mężowi. Gdy się sułtan Abdul-Hamid o tem dowiedział; kazał przyjść do siebie mężowi i kochankowi pięknej kobiety i rzekł do nich: „Obaj utracicie od jutra służbę; ty Raif, że mu ukradłeś żonę, ty zaś Mahmudzie, że sobie dałeś ją ukraść. — Kto kradnie cudzą żonę, mógłby i mnie to samo uczynić, a kto własnej żony nie pilnuje, nie może i mojej kawy pilnować.“ Ostatnie słowa zwrócone były do Kafedżego, którego służba polega na tem, że sułtanowi nalewa kawy.

„Bracia Zengammo“ Edmunda Goncourt. Jestto nowy utwór powieściowy tego pisarza, który można streścić bardzo prostem opowiedzeniem:

Dwóch saltymbanków pozostało sierotami. Kochają się szalenie, młodszy miłuje brata przywiązaniem synowskiem, starszy zlewa na młodszego całą matczyną czułość. Obaj namiętnie uprawiają gimnastykę, przywiązując do niej, szczególnie starszy, instynkt wynalazczy. Lubują się w swojem rzemiośle i rozkoszują się niem.

W te ćwiczenia siły, zręczności i gibkości ludzkiej, umieją nawet włożyć po trosze inteligencji. Chcą dowieść, co może zdziałać krzepkość zdwojona wolą. I po prawdzie, jeżeli mamy wytłumaczyć zajęcie, jakie budzą w tłumie ćwiczenia akrobatyczne, to tylko w ten sposób wyjaśniać je przystoi:

Oklaski, jakie dajemy produkcjom tego rodzaju, są tylko mimowolnym hołdem składanym energji i sile ludzkiej, które igraszkę czynią z wszelkich trudności, dają przystęp obawie i dowodzą, że człowiek zawsze zdoła osiągnąć to, czego usilnie pragnie dokonać.

Starszy z braci Zengammo pragnie przekroczyć granice możliwości. Brat uwielbia go i naśladuje. Próbują więc szaleństw krzepkości i odwagi. I udaje im się. Mają poczucie własnej siły. Zanim przedstawienie się rozpocznie, dają sobie wzajemny uścisk. Ale nie drżą, chociaż mają wykonać skok na 14 stóp z pomocą trampoliny.

Otóż i przedstawienie. Orkiestra odzywa się taktem przyśpieszonym. Młodszy brat rzuca się w przestrzeń i bez wysiłku przebiega 14 stóp lotem strzały... ale pada i łamie nogi. Zdrajca jakiś podciął przyrządy. Upadek zdaje się śmiertelny. Starszy rzuca się na brata i oszalały z rozpaczy wynosi go z areny.

Powrót do zdrowia jest trudny i powolny. Po dwóch miesiącach chory próbuje sił swoich i przekonywa się, że już nigdy nie będzie mógł rozpocząć na nowo swoich produkcyj. Przejmuje to go rozpaczą, a widok brata budzi w nim zawiść. Pragnąłby, ażeby i on zaprzestał akrobatycznej pracy. A jednak ten brat tęskni do trapezu. Po nocach wstaje z łóżka, żeby się oddawać ulubionym ćwiczeniom.

Pewnej nocy młodszy brat budzi się także, powstaje i powlókłszy się na kulach, chwyta starszego na gorącym uczynku gimnastyki. Wydaje krzyk i mdleje. Starszy przybiega go ratować i obiecuje poświęcić dłoń to, co było jego życiem i szczęściem. Od tej chwili oba bracia stają się grajkami na skrzypcach, chociaż młodszy musi grać siedząc na krześle.

To proste a jednak prawdziwe. Ile tu namiętności ludzkiej. W tem całem opowiadaniu, tak dyszącem prawdą a przejmującem, kobieta zajmuje drobne bardzo miejsce. Ci dwaj clownowie mają coś z postaci Hoffmana albo Poego, coś wzruszającego i przerażającego a wyciskającego pomimowolnie łzy.

☛ Z powodu zbliżającego się nowego kwartału upraszamy Szanownych Czytelników o odnowienie przedpłaty. **Kwartalnie 1 zł. 50 ct. półrocznie** do końca r. b. **3 zł. a. w.** — W przyszłym kwartale rozpoczniemy druk dwóch nowych powieści, równie pięknych jak zajmujących. Prosimy także przyjaciół piśmiennictwa polskiego o poparcie dla „Strzechy Ojczystej“, która dla swych zalet i taniości powinna by się znajdować we wszystkich domach polskich.

W drukarni narodowej W. Manieckiego przy ulicy Grodzickich l. 4.